



KONRAD J. PIWOWARCZYK

LEMIESZ
& RÓŻA

Konrad J. Piwowarczyk

LEMIESZ & RÓŻA

SPIS RZECZY:

- I. Dwór i bór**
- II. Dąb i róg**
- III. Jar i brzask**
- IV. Smrek i wrzos**
- V. Człek i zwierz**
- VI. Mech i krew**
- VII. List i wiatr**
- VIII. Siew i los**
- IX. Pąk i kwiat**
- X. Kłos i plon**
- Epilog historyczny*

LEMIESZ I RÓŻA

I

Dwór i bór

Jesień 1830 r.

Dwór — choć w istocie był raczej rozłożystą leśniczówką, drewnianą, zbudowaną na zrąb z pni smolnych i zaledwie pobieloną wapnem — tonął w ciszy boru, jakby sam był jego częścią. Spadzisty dach, przykryty gontem zszarzałym od wilgoci i czasu, przyjmował na siebie deszcze i śniegi z tą samą cierpliwością, z jaką stary człowiek znosi ciężar jesiennych dni. Wokół, niczym morze z drzew, płynął bór — nieprzebyty i głęboki, o barwach złamanych i woniach ciężkich od żywicy. Pnie smukłych sosen, niczym korynckie kolumny trzymały na swych kapitelach koronę lasu. W podszycie i w domieszkach pojawiały się młode dęby. Pomiędzy ten odwieczny duet wtrącały się nieśmiałe i delikatne brzozy, choć nie licznie – ich jasne pnie rzucały w leśny półmrok świetliste akcenty. I tylko czarna olsza gromadziła się tam, gdzie lubiła najbardziej, na uboczu, w okolicach mokradeł i w starorzeczu.

Jesień rozgościła się już na dobre: przysiadła na gałęziach, spowiła mchem głązy, a słońce, które wspinało się ponad gałęzie sosen, przybrało barwę starego miodu i przeświecało przez igliwie, niczym przez zielone witraże. Runo usiane czarną borówką kończyło się gdzieś tam wyspami z wrzosów, które wypełniały dalekim, bladym odcieniem purpury rozległe torfowiska i dąbrowy. Wiatr niósł zapach grzybów, mokrego listowia i kory — tak głęboki, że zdawał się dotykać najstarszych wspomnień tej ziemi.

Leśniczówka stała na lekkim wyniesieniu, nad dawnym traktem, którym niegdyś jeździli królewscy myśliwi. Echo ich rogów błąkało się do dziś wśród piaszczystych wydmy i dzikich mokradeł. Stara, mosiężna brama, której zawiasy dawno zardzewiały, a ciężkie skrzydła utknęły przed laty w bezruchu, stała zatopiona wśród dzikich traw i pnączy, które wplotły się w jej żelazną konstrukcję niczym naturalne ornamenty. Na centralnej belce, wyrzeźbiony w żelazie, błyszczał herb Rola. W polu jego tarczy miał lemiesz srebrny, a w sercu różę. Do dworu prowadziła aleja kilku wiekowych dębów, z obu stron przykryta mokrym pożółkłym liściem, w którym końskie kopyta zanurzały się niemal bezszelestnie. Na końcu drogi otwierał się widok na skromny ganek, wsparty na czterech rzeźbionych słupach, po których wdrapywał się leniwie bluszcz – pożerający swą soczystą zielenią pień i gałęzie starego dębu. Dwa kamienne psy strzegły wejścia, niczym sfinksy w postawie czuwania, z pyskami zwróconymi ku kniei. W tym miejscu czas zatrzymywał się, zwalniał i odchodził cicho, nie czyniąc hałasu.

Dzień był chłodny, więc Pani Apolonia Danielewiczowa narzuciła na ramiona wehnianą chustę litewską, barwy dojrzałej wiśni, i stanawszy na ganku, w milczeniu wsłuchiwała się w szum drzew. Mgły z dolin podnosiły się wolno, przysłaniając dolne partie lasu, aż wszystko — dom, drzewa, powietrze i ona — stopiło się w jedno: w obraz miękkiej,

malowany światłem, bez wyraźnych granic. Dwór wydawał się już nie siedzibą ludzi, lecz snem samego boru — snem głębokim, pełnym historii i wspomnień, które nigdy na dobre stąd nie odeszły. Stare drzewa zdawały się pochylać ku niej z łagodnością, świadome, że pod wełnianą chustą zaczęło kiełkować nowe życie.

II

Dąb i róg

Bór, w którym zamieszkali Danielewiczowie gdy pan Tomasz objął stanowisko strażnika lasów państwowych, jakby od stworzenia świata nieruszony, miał w sobie coś z majestatu i tajemnicy modlitwy. Pnie starych drzew, grube i proste, stały w nieruchomych szeregach niczym kamienne sylwety świętych. Człowiek — jeśli w ogóle tu docierał — to nie po to, by mówić — lecz by słuchać; tu bezgłośnie spowiadał się drzewom i kamieniom, tu klęczał z kolanami we mchu, w pokorze, a Bóg odpowiadał ciszą, szelestem liści i śpiewem ptaków. Bywało, że przyłożywszy głowę do omszałych kamieni, człowiek czuł puls tej krainy, o rytmie głębokim i korzennym. To biło serce lasu, ale w szmerze tym słyszeć dało się coś ludzkiego — miejscowi mówili, że to szept przodków, inni, że dusz które przez tysiąclecia odnajdywały tu ukojenie, jeszcze inni, że szeptem tym bór — do siebie — człowieka przyzywa.

W najgłębszym gąszczu tego leśnego krwioobiegu, w miejscu, gdzie słońce nie docierało już niemal wcale, na granicy rozległego torfowiska, co niczym niezasklepiona rana kładło się między brzozaami i olszami blizną moczarów, stał on — dąb ogromny, szerniał od lat i deszczy, z pniem potężnym, o kształcie wielce osobliwym. W mrokach nocy lub w jesiennych mgłach porannych wydać się mógł cieniem dawnego olbrzyma, który przysiadł tu na chwilę i zasnął już na wieki — lecz gdy podejść bliżej, dostrzegało się w pniu tym przedziwnym przestrzał na wylot, jakby Bóg w gniewie swym niebieskim, piorunem drzewo to stare przeszył. Kora dębu była szorstka, opleciona dzikim bluszczem; wokół spoczywały powalone konary. Ów wartownik pradawny zdawał się być świętym strażnikiem tego boru, a wyrwa w jego pniu, przedwieczną świątynią leśnego bóstwa, do której wnętrza ktoś niegdyś, za niepamiętnych już czasów, ułożył niczym stopnie, parę płaskich kamieni.

Kiedy niebo, jeszcze przed chwilą jasne i łagodne, przygasło, a nadciągająca z zachodu ciemność, niby płaszcz z czarnego aksamitu, zaszeleściła nad wierzchołkami sosen, ziemia tutejsza zapachniała żywicą i grzybnią, a w głębi boru rozszemrały się pierwsze krople deszczu.

Dozorca leśny, nie z własnego kaprysu ani nie dla wspomnienia przybył dziś w te okolice, lecz z obowiązku, który nie znosił zwłoki. Od kilku dni wieść chodziła po wsi, że w okolicy torfowiska kryją się kłusownicy. Ślady, jakie rano znalazł, zaprowadziły go właśnie ku tej stronie, gdzie bór przechodził w błotnistą równinę. Tomasz znał każdy pień, każdy jar i ścieżkę i wiedział, że nikt, kto rozumem właściwie włada, nie zapuszcza się w torfowisko bez potrzeby — tam grunt zdradliwy, a grząska ziemia w swe mokre czeluście nawet dorosłego dzika potrafi wciągnąć. Ale właśnie dlatego tu należało sprawdzić: w takich

miejscach lubiły kryć się ślady zbrodni. Zanim więc niebo zasnuło się całkowicie ołowiem, kiedy wiatr, dotąd cichy, przeszedł między sosnami niskim, głuchym pomrukiem, Tomasz zatrzymał konia. Na granicy torfowiska powietrze zgęstniało, ciężkie od wilgoci i zapachu gnijących mchów. – Dalej pójde pieszko, a ty tu grzecznie poczekaj – powiedział głaszcząc konia. Ten podniósł głowę, powąchał wilgotne powietrze i parsknął cicho, jakby sam wyczuwał niebezpieczeństwo. Choć nie był to ogier wyścigowy ani nawet koń do ozdoby stajni dworskiej, był dla Tomasza nie tylko narzędziem pracy, ale partnerem, strażnikiem lasu, takim jak on sam, i takim jak on sam świadkiem każdej chwili spędzonej w knieji. Każdy jego krok był pewny i ostrożny, a zarazem pełen energii, gotowy nieść swego pana przez zdradliwe podłoże, przez mchy i korzenie, które nieraz spinały nogi niczym sidła. Grzęzawisko traktowało każdego jednakowo: człowieka, konia i dzika. Jedno nieuważne stąpienie mogło kosztować życie – niejednego tu już bagno wzięło bez śladu. Leśnik tylko zdołał o tym pomyśleć, aż tu nagle w gęstwinie olszyn, pośród ciemnego mchu, coś się zatrzęsło i blado zamigotało. Tomasz zbliżył się ostrożnie.

Poroże, zmatowiałe, tkwiło w torfie, a sarnia głowa, ledwie wystająca z czarnego mułu, zwrócona była ku niebu, jakby w ostatnim błaganiu. Ciało niemal całe wsiąkło w ziemię, tylko kępka rudego futra połyskiwała jeszcze wilgocią. Woda zebrała się w oczodołach, a wokół, jak cisi świadkowie tej sceny ostatniej, krążyły szare torfowe muchy. Tomasz zdjął czapkę, choć nie wiedział, czemu – może z odruchu. Spojrzał sarnie w oczy. Nie było już czasu na wahanie. Delikatnie przytrzymał głowę kozła i jednym, pewnym ruchem ostrza uśmiercił go, tak jak uczyło doświadczenie: szybciej, niż mógłby poczuć ból. Chwila ta była cicha, niemal sakralna – jakby las sam przyzwalał na ów czyn.

— Biedne stworzenie... śpij – szepnął tylko. – Bagno niczego nie grzebie na wieki – pod tymi mchami śpią ciała sprzed wieków, twoi bracia i ojcowie, i moi, ludzie, których nikt nie odnalazł. Las pamięta wszystkich jednakowo. Mówiąc to, poczuł w głębi duszy coś, co trudno było nazwać żalem, raczej lękiem pierwotnym – jakby natura, w swej niepojętej sprawiedliwości, przypominała mu, że każde życie ma swój kres. Po krótkim namyśle strażnik odrąbał jedną twardą odnogę poroża, oczyszczając ją palcami z mułu. — Przyda się – mruknął cicho, jak człowiek, który wie, że z takiej kości można wykuć rękojeść noża, co nie zawiedzie przy żadnej pracy. Nie było w tym zachcianki, lecz praktyczny rozsądek leśnika: dar lasu mógł stać się użytecznym narzędziem, które przetrwa trud codziennej pracy. Tomasz odłożył odnogę do torby, czując, że w ten sposób las sam dał mu zgodę na wykorzystanie tego, co przetrwało – by służyło pracy, a młodszym pokazało, jak mądrze i z szacunkiem korzystać z tego, co ofiarowuje natura.

Mgła zaczęła wypełniać dolinę, słońce gasło. Strażnik ruszył ku granicy torfów. Wiedział, że burza jest blisko – czuł ją w powietrzu, w zapachu kory i w drzeniu liści. Lecz zanim wróci, chciał raz jeszcze obejść teren, zobaczyć, czy przy dębie nie ma świeżych karbów w ziemi, śladów końskich kopyt, czy ktoś nie próbował ukryć czegoś w pustym pniu. Bo pień ten, z otworem na przestrzał, od dawna był miejscem, gdzie leśni złodzieje lubili chować narzędzia, a nieraz i swe kłusownicze trofea. Zbliżył się do drzewa, ostrożnie oparł dłoń o omszały pień; chłód drewna przeszył mu palce niczym ostrze. Przez chwilę wsłuchiwał się w szelest liści i pierwszy, cichy pomruk dalekiego grzmotu. Dziura w pniu, naturalny azyl, tworzyła teraz coś w rodzaju zadaszenia – suchą, przyjazną jamę, która mogła

bezpiecznie pomieścić nawet dwoje ludzi. Ostatni raz przesunął wzrokiem po mokradle. W głębi grzęzawiska lśniły pozostałości poroża, a sierść sarny, ledwie wystająca z ciemnej wody, połyskiwała w wilgotnym świetle. Nad torfowiskiem przeleciał kruk; jego głos brzmiał jak ostrzeżenie dla każdego, kto waży się tu zapuścić. – Wystarczy na dziś – powiedział odwiązując konia. – Czas ruszać dalej.

III

Jar i brzask

W głębi izby, za ciemnymi belkami stropowymi, rozpościerała się biblioteka – bór równie ogromny, równie ciężki od mroku i kurzu. Bór pamięci i wiedzy minionych pokoleń, którego woń zdawała się łączyć drewno, pergamin i czas. W kątach, na półkach, wśród map i rogów myśliwskich, zgromadzono dziedzictwo kilku pokoleń, sięgające jeszcze czasów Daniela i bojarów litewsko-ruskich.

Tutaj półki, niczym brzozyowe gałęzie, ugiwały się miękko, pod ciężarem ksiąg, których grzbiety – zazielenione, poszarzałe, pożółkłe i zbrunatniałe – przypominały Tomaszowi porosty na pniach drzew. Niektóre z tomów lśniły delikatnym blaskiem, jakby jesień ozłociła właśnie dębowe liście. Ich kartki pachniały atramentem i żywicą, a marginesy nosiły ślady dawnych dłoni. Wprawne oko tropiciela, poznało niczym odciski zwierząt w leśnym runie, stare herby i insygnia. Tutaj, pośród pergaminu i starych druków, krył się obraz świętej pamięci ojca, Józefa, instygatora Trybunału Koronnego, człowieka władnego w prawie i słowie. Jego ręka dotykała akt i pieczęci, a oczy spoczywały na podpisach tych, którzy tworzyli historię Rzeczypospolitej – od lokalnych sędziów, przez możnych szlachciców, aż po dokumenty, które w blasku świecy nosiły odległą cień pieczęci królewskiej. Na jednej ze stron widać było staranny podpis Stanisława Kostki Potockiego, męża wielkiej Litwy, polityka i człowieka uczonego, którego słowa i decyzje odbijały się w salach Trybunału. Tu, w tej gęstej kniei podpis Potockiego przestawał być tylko znakiem na pergaminie – stawał się świadectwem czasów, w których ojciec pełnił swój urząd, pośrednicząc między prawem, porządkiem publicznym a losem ludzi. Tomasz, czasami przeglądał te akta, lecz czynił to z rzadka i raczej w chwilach pewnej duchowej słabości, ku pokrzepieniu serca. Czuł bowiem wówczas, jakby dotykał nie tylko litery prawa, lecz samej duszy przodków – ich trosk, nadziei i obowiązków. To działało kojąco, niosło ze sobą tę samą moc, co leśna knieja.

W tej części księgozbioru Tomasz znalazł się, już po śmierci ojca, w chwili przypływu przykrej melancholii. I to tutaj wpadł mu w rękę dokument z akt Trybunału, którym stwierdza się, że Roku Pańskiego 1787, a więc długo przed narodzinami Tomasza, ojciec jego *zabezpieczył pewną sumę posagową swej żonie, Maryannie z Lewandowskich, córce Jana i Wiktorii z Jabłońskich*. Odezwało się wówczas w Tomaszu uczucie równie ciężkie i smutne, co to, które towarzyszy leśnikowi podczas aktu dobijania umierającej zwierzyny. Była to ta czarna, jadowita rozpacz, tyle, że z domieszką usprawiedliwienia, zbyt małą

jednak i wątplą, by przeważać świadectwo śmierci jakiegoś istnienia. Tomasz w tamtej chwili, po raz pierwszy w życiu, dostrzegł w geście ojca akt nie tylko przezorności, ale i troski – o matkę, o niego i jego rodzeństwo. Za życia, ojciec nie często ich widywał, obowiązkowa funkcja państwowa wyrwała go z życia i pożycia rodzinnego, a matka o ojcu mówić nie lubiła. Jak ów bór przedwieczny, tak i księgozbiór państwa Danielewiczów żył więc własnym rytmem: szelest kartki był szumem liści, czasem zapowiadającym burzę. W tamtej chwili była to burza w sercu młodego Tomasza, który po stracie ojca nie poczuł właściwie nic, i myśl ta bardzo mu moralnie od zawsze wadziła. Kłuła go w sercu, bo czuł, że tak, jak każda sięgająca po księgę dłoń, prowadzona jest siłą wewnętrznej potrzeby – piękna albo porządku; czasem pożądaniem wiedzy, czasem wspomnieniem, innym razem powodowana zachętą, dość, żeby powiedzieć, że kieruje nią jakiś rodzaj pragnienia, tak Tomasz, którego wychowywała matka i guwernantka, od zawsze wierzył, że fizyczna nieobecność ojca w domu, też wynikać musi z wyższego pragnienia, zapewne, jak na oskarżyciela koronnego przystało, z potrzeby porządku i sprawiedliwości.

Wszyscy bracia Tomasza, Walenty, Piotr Franciszek, Roch i Paweł – dorastali pośród tego historycznego dziedzictwa, ucząc się szacunku dla pisma, dla prawa i dla tradycji, co spajały ich ród od czasów, gdy herb Rola przyjęli litewscy bojarzy. Przodkowie wielcy i dzielni: Michał, dworzanin króla Zygmunta, którego odwaga i wierność koronowane były złoceniem herbów i Grzegorz, sędzia grodzki łucki szeptali z ksiąg tych swoje historie. Rękopiśmienne kroniki, starodawne herbarze, odpisy akt z Trybunału, a nawet egzemplarze „Insignia seu clenodia Regis et Regni Poloniae” – wszystkie one pulsowały ciężkim, powolnym rytmem historii. Najwyższa półka kryła urzędowe „Opisanie lasów Królestwa Polskiego i gubernij zachodnich”, tom wielki, w skórzanej oprawie, ciężki niczym pień starego dębu, o której to księdze Pani Apolonia mówiła, że to *biblia jej męża*. W istocie, biblią Tomasza było jednak „Opisanie drzew i krzewów leśnych Królestwa Polskiego”, oprawione w ciemnozieloną skórę, wytartą w rogach i złoceniach. Tomasz już jako dziecko dotykał każdej strony tej książki jak liścia, urzeczony tym, że ilustracje wyryte były w drzeworycie z taką precyzją, iż każdy rysunek zdawał się drzeć jak żywy pod jego palcami. Tu, w tym tomie, las przemawiał językiem dawnej polszczyzny – słowa szeleściły jak igliwie pod stopami, a opisy drzew przesycone były żywicznym aromatem z dzieciństwa.

Na dużym stole, wśród atlasów i map, leżały dokumenty codziennej straży leśnej, kroniki i zeszyty z notatkami Tomasza – świadectwa pilności i troski o bór, jakich wymagała służba państwowa. Były tu spisane rozporządzenia i polecenia, mapy lasów z naniesionymi znakami granic, ścieżek zwierzyny i miejsc, gdzie sosny i dęby rosły w szczególnej gęstości. Obok leżały pergaminy z raportami o nielegalnym wyrębie, opisami zdarzeń z życia zwierząt, a także z wykazami narzędzi i broni, które w razie potrzeby strażnik mógł wziąć do ręki. Tomasz siedział przy stole, oświetlony migotliwym światłem łojowej świecy, a myśl jego wędrowała ku dzikim zakątkom boru, ku jarowi, który przed chwilą przemierzył. Chciał w spokoju zebrać w słowa każdy szczegół, każdy zakamarek, tak by przyszedł leśnik, czy to w jego rodzinie, czy w dalszej przyszłości, mógł odczuć rytm i duszę tego miejsca. Rozpoczął opis, a pióro jego poruszało się powoli, z namysłem:

Jar ten jawi się jako wąska rynna ziemi, wciśnięta między strome grzbiety wydm i skał, gdzie woda, spływając po zboczach, wyłobiliła niewielkie stopnie i zagłębienia, w których zalega torf i wilgotny piasek. Z boku, na stromych ścianach jaru, powstały osypiska kamienne, zwaliska granitowych i piaskowcowych głazów, porośłych mchem i porostami, gdzieniegdzie przebijają się kępki paproci, bodziszka, jasnoty i goryczki, a młode dęby i brzozy, wychylając się ze zboczy, chwytają światło porannego słońca. W dolnej partii jaru, gdzie cień jest głębszy, rosły czernice i sitowie, mech torfowy i kosmatki, a gdzieniegdzie, przy wilgotniejszych progach, pojawiały się maliny i poziomki. Na niektórych głazach uchwyciły się grzyby — maślaki, borowiki i pieprzniki.

Tu Tomasz przerwał, poczuwszy w sercu, iż słowa dotąd pisane nie ogarniają uczuć, a przyroda żyje tylko w nich i dopisał...

Jar ten trzeba odwiedzać o brzasku, dolina napętnia się wtedy mglistym światłem i ożywa, oddycha. Gdy stąpasz po wilgotnej ściółce, słyszysz szept korzeni. W osypiskach kryją się cienie dawnych zwierząt, a w powietrzu unosi się zapach igliwia i żywicy, który napętnia duszę ciszą i spokojem. Nie można opisać jaru tylko suchymi słowami — trzeba go poczuć.

W drzwiach pojawiła się pani Apolonia. Lekko uśmiechając się, stanęła przy mężu i położyła mu dłoń na ramieniu, jakby chciała powstrzymać wędrówkę jego myśli. Jej gest był czuły, pełen wyrozumiałości i nieśmiałej troski.

– Znowu myślisz o ojcu? – spytała miękko.

– Myślę o nim częściej, odkąd sam mam stać się ojcem – odpowiedział, a jego dłoń spoczęła lekko na jej brzuchu, w geście czułości i zadumy.

IV

“Smrek i wrzos”

Stanęli u progu wrzosowiska, jak przed świeżo rozwiniętym kobiercem, na który żał było nadepnąć. Tomasz, oparłszy dłoń na laskowym kiju, zapatrzył się w nieruchomy horyzont. Z purpurowej opończy spływającej po piaskowych wydmach, wylaniał się stary, strzelisty świerk. Gdy wszystko wokół zastygło oszronione zimowym milczeniem, on jeden trwał w swej intensywnej zieleni – niby wspomnienie lata, albo obietnica wiosny. Tęgi smrek, otoczony liliową koronką, utkaną z miododajnych kwiatostanów, przyozdobiony szwem porannej rosy, mieszał aromat żywicy z zapachem wilgotnej ziemi.

– Usiadźmy tu, tak lubię to miejsce – rzekła cicho Apolonia, zbliżając się do solidnego pnia. Wsparłszy się na ramieniu narzeczonego, z gracją siadła na jednym z wystających korzeni i rozejrzała po okolicy. – Stara Weronka powtarza, że „wrzos pod smrekiem oznacza wierność w małżeństwie”, zaśmiała się. – Jeśli kto żyje blisko natury i szanuje jej prawa, to i serce jego trwa w zgodzie, jak wrzos przy korzeniach smreka, odparł Tomasz i wyjął z pasa nóż myśliwski. Ostrze błysnęło w słońcu, a on ukląkł przy miękkim mchu,

podbierając kawałek kory z pnia – jeszcze chłodnej od wilgoci. Ostrożnie i z wprawą wycinał maleńką łódkę; palce przesuwaly się po drewnie pewnie, jakby znały każdy splót włókien. Nie pośpieszał się. Ciał powoli, a kora drżała, lecz nie pękała. Do sztuki tej potrzeba było nie tylko wprawnej ręki i wzorowego ostrza z damastu. Ważna była też solidna rękojeść. Ta właśnie, kryła w sobie pamięć minionego zdarzenia na bagnisku – była krótka i solidna, jakby w jej splocie zamknięta była cała ostatnia chwila życia tonącego w bagnie zwierzęcia.

– Patrz, jakie to drzewo jest trwałe. – Tomasz odezwał się, wiercąc w skupieniu końcówką damasceńskiego ostrza otwór na maszt. – Od tyłu zim stoi, uderzany wichrem, siekany mrozem, a przecie nie ugina się, nie czernieje, nie więdnie. W jego korze tkwi moc ziemi, w igliwiu tchnienie wiatru, w żywicy samo ciepło słońca, które on zatrzymuje w sobie, jakby na zapas, by dzielić się nim z innymi. Tu przerwał na moment i rozejrzał się wokół.

– Nie rośnie sam dla siebie. Daje schronienie, trzyma grunt, aby się nie rozsypał. A u jego stóp wrzos, mały, nawet nie dorasta do skraju pierwszych smrekowych gałęzi, a przecie w nim ta sama moc płynie. Spal go ogniem, zetrzyj wichurą, przysyp piaskiem – a on powstanie, drobny, cichy, z tym swoim bladym fioletem, który potrafi rozjaśnić nawet popiół. Nikt go nie sadi, nikt nie pielęgnuje, a kwitnie tam, gdzie nic innego się nie chce przyjąć. Jakby ta jego odwaga z tego płynęła smreka – z jego cienia, z jego soku, z tej niewidzialnej więzi między drzewem a ziemią. – mówiąc to mężczyzna wręczył Poli delikatne czółenko. Dziewczyna odczepiła z włosów cieką, jedwabną wstążkę, którą zwykła wiązać warkocz. Tomasz ostrożnie przymocował ją do masztu łódeczki; wstążka drgnęła pod lekkim powiewem wiatru.

Chłód porannego powietrza zmieszał się z ciepłem ich gestów. Oboje czuli jednak w duchu, że w tym unoszącym się na błękitnych falach z porostów miniaturowym czółenku kryło się coś więcej niż tylko wytrwałość przyrody. Łódką płynął lęk, ciężki i nieproszony, na myśl o tych niepewnych czasach, w których przyszło żyć im. W lecie przyjdzie w nich żyć także ich maleństwu. Pola czuła, jak jej ciało drży pod naporem myśli. To nie była zwykła niepewność, lecz paraliżujący strach – że każdy oddech może zranić dziecko, że za każdą chwilę nieuwagi zapłacić jej przyjdzie podwójnie. Lęk stawał się fizyczny: wkradał się w mięśnie, przesuwiał kości, zatapiał ją w bezdechu. Tomasz poczuł to całym sobą.

– Spójrz tylko – powiedział – świerk z pozoru twardy, szorstki, chłodny jak stal; a wewnątrz, gdy nacisnąć korę, sący łzę żywicy, przezroczystą, ciepłą, pachnącą. Wrzos przeciwnie – kruchy i wąty, rośnie na piaskach, gdzie nic już nie chce rosnąć, a jednak zakorzenia się tak mocno, jakby w samym trudzie znajdował siłę. Nie zginie, póki trzyma się korzeni smreka. Z jego kwiatów pszczoły robią miód gęsty, ciemny i wonny – którego nie każda pasieka doczeka, bo trzeba do niego cierpliwości i pogody późnego lata. W jednym trwałość, w drugim słodycz, w obydwu jednak to samo życie, ta sama wierność ziemi.

Na te słowa, zupełnie nagle zatiła się w Poli cicha nadzieja – że może Tomasz ma rację, że może w tej burzy znajdą własny azyl. Są przecie spleceni, jak ten smrek i wrzos.

Zza boru podnosiła się mgła, różowa od wschodu. Świat malał, miękł i znikał.

V Człek i zwierz

Apolonia dopinała mężowi ostatnie guziki munduru. Płomień oliwnej lampy tańczył na ciemnozielonej tkaninie, wydobywając z nitek złote refleksy. Na płaszczu barwy sosnowych igieł, połyskiwały guziki z wytłoczonym Orłem Białym. Skrzydła wyciągnięte ku niebu, tarcza herbowa, grzbiet wygięty w subtelny łuk, dzioby i szpony – wyryte były z mistrzowską precyzją. Apolonia, jakby złęknioma powagą sukmany, przesuwiała dłonie po tkaninie ostrożnie, z mistycznym wręcz namaszczeniem, wyczuwając nie tylko grubą, wełnianą splotkę, lecz i niewidoczną dla oka historię — każdy szew, każde podszycie z mieszanki konopi i lnu opowiadało o odpowiedzialności za bór i za wszystkie kryjące się w nim istoty, niezależnie, czy las był im domem czy tylko chwilowym schronieniem.

Tomasz poprawił pas do ładownicy. Skórzane, ciemne od pasty taśmy spoczywały na ramieniu pewnie, jakby szepcąc, że sprostają każdemu niebezpieczeństwu. Poła, nasyciona dziegciem i przesiąknięta wonią sosnowej żywicy, kryła tajemnicę, która czyniła ją cięższą niż wszystkie ładownice i bukłaki, jakie dotąd nosił. Gdy uniósł klapę, skrzypnęła cicho, jakby oddychała po długiej wędrówce. Wewnątrz panował ład, staranny i drobiazgowy — jaki mógł stworzyć tylko człowiek wychowany pod okiem ojca, służącego w majestacie prawa. Pod kawałkiem suchego płótna spoczywały starannie skrecone, wąskie jak palec papierowe naboje, których delikatne tuby kryły suchą, jednorodną porcję prochu, a obok krzesiwo — niewielkie żelazko w kształcie podkowy, które Tomasz potrafił obsłużyć nawet w całkowitej ciemności. Jego krawędzie, starte od lat uderzeń, wciąż iskrzyły niezawodnie. W osobnej przegródce była garść suchych hubek oraz gliniany pojemniczek na drobny pyłek rozpalkowy, a obok krótki, cienki jak gałązka leszczyny wycior, z końcówką oplecioną wełnianą szmatką, którą strażnicy nasączali mieszaniną tłuszczu i żywicy, by była zawsze gotowa oczyścić lufę. W małej kieszonce znajdowały się dwa kapiszony, które brzęczały lekko przy każdym ruchu, i niewielkie ołowiane kule, gładkie i zimne. Nie były ciężkie, jednak dla Tomasza ważyły dokładnie tyle, co sumienie człowieka, który musiałby ich użyć. Zawinięte były w związaną kawałkiem szpagatu szmatkę smołowaną, czarną, o ostrym i ciężkim zapachu, która choć przeznaczona do wycierania broni, służyła nieraz do tamowania krwi — tej zwierzęcej, której nie brakło w jego pracy. Jednak to widoku tej ludzkiej, Tomasz najbardziej się teraz obawiał. Na samym dnie torby, krył się sekretny cel wyprawy: dokumenty, a pośród nich mapy borów, plany dróg oraz wykazy punktów zbornych, rozsianych po lasach guberni, a wszystkie one, opatrzone pieczęciami “sekretarza i mierniczego obwodu leśnego Jego Cesarskiej Mości”, Walentego Danielewicza herbu Rola — najstarszego z braci Tomasza.

Wsuwając plik dokumentów do ładownicy brata, Walenty miał twarz napiętą bardziej niż zwykle, jednak w jego oczach płonęło to samo światło, które Tomasz pamiętał sprzed lat — światło człowieka, który pierwszy prowadził go na tropy, który pomagał odróżniać ślad wilka od śladów psa i uczył czytać las, niczym niekończącą się księgę życia.

— Bracie mój, ścieżki te znasz lepiej niż niejeden strażnik przestworzy własnej duszy — zaczął Walenty, spoglądając Tomaszowi w oczy. — A jednak dziś każda z nich może obrócić się przeciw tobie, jeśli Bóg i los nie będą nam życzliwi.

Tomasz skinął głową, czując w gardle ciężar braterskich słów.

— Wiem, bracie, nie pójde lekko myślą — odparł cicho.

— Idź, skoro taka powinność stoi przed tobą, lecz idź tak, jak idzie człowiek, którego serce bije nie tylko dla niego samego, ale i dla tego, kto za nim zostaje. Bądź rozważny i uważaj na siebie — oni patrzą, patrzą wszędzie — ciągnął Walenty, a głos jego stawał się coraz miękniejszy i cichszy. Nagle oczy wypełniły mu się troską. — Ja tu będę czekał, — dodał — z modlitwą niemą i gorącą, byś wrócił cały, acz gdyby jednak Bóg zechciał nas tu dziś ze sobą na wieczność rozłączyć, niech to, co prawdziwe i czyste, prowadzi cię w tym życiu jak światło ksiąg twych ukochanych. Pamiętaj, zawsze słuchaj lasu, jako że on uczy pokory lepiej niż człowiek. Drzewo rośnie powoli i milczy, choć widzi więcej, niż my kiedykolwiek ujrzymy. Patrz na nie i ucz się od niego — nie wyniosłości, a wytrwałości, i kiedy poczujesz, że ciemność zagląda ci w oczy, przypomnij sobie zwierzęta, co wędrują nocą: idą cicho, pewnie, nigdy na oślep. Ty też idź tak — nie na przekór światu, ale zgodnie z sercem swym. Jeśli droga się splącze, zatrzymaj się jak jelen nad wodą i zaczerpnij oddechu. Las pokaże ci prostą ścieżkę, nawet wtedy, gdy człowiek myśli, że takowej nie ma.

— Będę ostrożny, bracie — odparł Tomasz, ściskając torbę. Poczuł już nie wagę pakunku, lecz — donioślejszy nawet — ciężar braterskiej miłości i tych słów wypowiedzianych w półmroku, co spoczęły w jego sercu niczym echo dawnej przysięgi.

Gdy sunął wąską ścieżką między ciemnymi jak studnie sosnami, torba obijała się o bok konia w jednostajnym, pewnym rytmie. Jechał wolniej, niż wymagała droga, jakby chciał jeszcze zatrzymać w sobie głos brata. Wiedział, że z chwilą, gdy minie skraj lasu, nic nie będzie takie jak przedtem, ale nie potrafił odwrócić się ani przyspieszyć. Miał przed sobą tylko obowiązek. Oddychał płytko, krótkimi haustami, jakby przeżuwał powietrze, nim trafi do płuc. To drżenie w piersi nie było mu obce — znał je z nocy przed polowaniami, z chwil, gdy wchodził w bór, gotów zmierzyć się z wilkiem albo kłusownikiem.

Wiedział, że wystarczy jeden donos, jedno potknięcie, i wszystko, co sercu jego najdroższe — rodzina, praca, dom i imię ojca — rozpadnie się jak próchno pod końskim kopytem. W powietrzu unosił się zapach mokrego igliwia. Każdy dźwięk — trzask gałązki pod stopą zwierzęcia, szelest ptasiego skrzydła, cichy plusk strumienia — stawał się dla niego wyznacznikiem rytmu podróży i znakiem, że las tej nocy może być ostatnim świadkiem jego życia. Gdy o tym myślał, nagle, na wilgotnej ziemi, tuż obok ścieżki, dostrzegł ślady. Były świeże, jeszcze trzymały wilgoć. Zbyt były szerokie na sarnę — ta stawia kopyta wąsko, równiutko, bez rozrzutu. Nie dzik: bo ślad bez rycia, nie wilk ani pies — nie ma śladu pazurów, nie ma rytmu tropu. To krok istoty dwunożnej. Jedna stopa odbita

wyraźnie, porządnie obciążona. Druga... rozmazana w nieregularną smugę, ciągnęła się kilka metrów dalej. Tak chodzi ten, kto przenosi ciężar ciała na jedną nogę, bo druga boli tak, że już jej nie podnosi. To był człowiek. I człowiek ranny.

Las przycichł nagle, jakby wstrzymał oddech.

— Ktoś jest przede mną... — szepnął Tomasz, zatrzymując konia, który na miękkie, ledwo wyczuwalne poruszenie jego dłoni i zwolnienie dosiadu ujął krok, jakby i on przeczuł, że w tej chwili trzeba stanąć, uspokoić oddech i nasłuchać.

VI

Mech i krew

Ślady wiodły ku mokradłom. Gdyby to był trop zdrowego człowieka, Tomasz ruszyłby dalej, nie zwracając dziś nań uwagi, lecz te ślady świadczyły o innej prawdzie — ranna, wciąż jeszcze może żyjąca istota, wykrwawia się na śmierć; dlatego zboczył z wytyczonej drogi i podążył za tropem powoli, napinając wszystkie zmysły, wyczekując najmniejszego ruchu, nasłuchując najcichszego szelestu. Ślady krwi prowadziły w okolice wieczystego dębu z dziuplą na przestrzał. Zsiadł z konia. W rozpadlinie pnia, między wilgotnym mchem a szorstką korą, spoczywało znieruchomiałe ciało. Bładość twarzy kontrastowała z ciemniejącą od krwi szarą tkaniną kaftana. Oddech ledwo dał się wyczuć, krótki, łapczywy, przerywany bólem.

Tomasz wyciągnął z torby krzesiwo i hubkę, lecz nie śmiał rozpalać światła, które mogłoby zdradzić ich pozycję. Ukląkł, osłaniając dłonią przestrzeń między sobą a ciałem rannego. Uderzył krzesiwem tylko raz, cicho, ostrożnie. Iskra trafiła w hubkę i natychmiast ją przygasił, zamknął w dłoni, pozwalając jej tlić się bez płomienia. Zwinął niewielki żar w mech, jakby formował w nim drobny, ciepły kamień, i wsunął go głębiej pod własne ramię, by światło nie mogło wydostać się na zewnątrz. Mech cicho syknął od ciepła. W półmroku, który teraz płynął już nie z księżyca, ale z tego uwięzionego, skrytego żaru, Tomasz nachylił się nad mężczyzną, który na lewej piersi, tuż przy rozprutym szwie, doszytą miał małą kokardę białą-czerwoną, zgrzebną, skromną – mówiącą wszystko. Za skórzanym paskiem wetknięty miał krótki tasak, stary, ale naostrzony. Takich tasaków nie mieli ludzie cara. Strażnik wyjął go zza pazuchy, wprawnym ruchem rozciął nim strzępy ubrania, wyciągnął ze swej ładownicy szmatkę smołowaną. Wiedział, że ta przejmie krew, zatrzyma ją, przynajmniej na chwilę. Ostrze carskie wbiło się w udo z przodu — trochę powyżej kolana, nie tyle wprost, ile pod nienaturalnym kątem, jakby prowadzone brutalną ręką kogoś, kto chce tak zwierzę zranić, by nie umarło od razu, lecz krwawiło długo, aż do końca; bagnet wgryzł się w mięsień, rozwarł go na szerokość dwóch palców, a wychodząc, rozerwał włókna tak, że teraz każde poruszenie nogą ciągnęło za sobą nie jedną ranę, a cały wachlarz drobnych, rozdzierających zadr; krawędzie rozchylały się jak mokre pergaminy, odsłaniając ciemne, żywe wnętrze, z którego sączyła się krew. Ciężka, gęsta i lepka, pulsując płynęła z alarmującą łatwością. Szybko rozwinął materiał, przyłożył go tuż

przy ranie, dociskając pewnie choć ostrożnie, z tą osobliwą delikatnością, która rodzi się nie z braku siły, lecz z głębokiej świadomości, że każde nadmierne przesunięcie dłoni może spowodować nowy wyciek, nową falę krwi wypchniętej z wewnętrznej, pulsującej ciemności. Czuł pod palcami drżenie mięśnia, drganie nieświadome, mimowolne. Przełożył dłoń wyżej, wsuwając palce pod tył uda, żeby unieść kończynę i zmniejszyć napór krwi; nawet przez warstwę zimnego materiału czuł, że noga jest ciężka, zbyt ciężka jak na kogoś młodego, jakby śmierć już położyła na niej swoją rękę. Zaciśnął bandaż — prowizoryczny, byle jaki, z tego, co miał przy sobie — owijając pas tkaniny wzdłuż uda, splatając go mocno, nie symetrycznie, lecz tak, jak wymagało tego rozcięcie.

Każde ściągnięcie bandaża pociągało za sobą krótkie, urwane westchnienie rannego, ledwie słyszalne, niemal uciekające spod powiek, lecz wystarczające, by Tomasz poczuł, że czas jeszcze jest po ich stronie; że życie wciąż się jeszcze tli, chowając w najciemniejszych zakamarkach ciała. W tej mikroskopijnej przestrzeni między pniem dębu a jego własnym kolaniem panowała cisza tak gęsta, że nawet sapanie konia, stojącego kilka kroków dalej, wydawało się odległe, jak dochodzące zza drzew i mgły. Tomasz pochylił się niżej nad ramieniem rannego, bo w półmroku żar ukryty w mchu dawał zaledwie tyle światła, by odróżnić skórę od krwi, ubranie od ziemi, a twarz — tę bladą, nieruchomą twarz — od kory drzewa. Dostrzeżenie każdego detalu wymagało zsynchronizowania oddechu z drgającą, słabą iskrą ukrytą w jego dłoni. Zsunął palce wyżej, na klatkę piersiową powstańca, szukając rytmu, który często bywa ostatecznym sędzią. Odetchnął cicho; nie z ulgi, lecz z napięcia, które na chwilę poluzowało zacisk.

— Jeszcze tu jesteś — wyszeptał, nie wiedząc, czy głos w ogóle dotarł do świadomości rannego, po czym odpiął od ładownicy skórzane pasy, złapał ciało pod ramionami, przez chwilę walcząc z bezużyteczną bezwładnością nóg, których ciężar przewyższał wszystko, co pamiętał z doświadczeń łowieckich. Przysunął rannego bliżej, opierając go półbokiem o pień, tak, aby głowa nie opadła bezwładnie i żeby oddech miał prostszą drogę. Teraz dopiero, gdy zabezpieczył choćby prowizorycznie ranę, a ciało ułożył tak, by nie zadusiło samego siebie, spojrzął na człowieka uważniej.

Chłopak nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia, dwadzieścia kilka lat. Włosy przyklejone były do skroni od potu i krwi, a policzek pokryty zaschniętym błotem, które musiało przywrzeć do skóry, gdy upadł. Kokarda na piersi drgała przy każdym płytkim oddechu, wznosząc się i opadając w rytmie, który wydawał się Tomaszowi nie tyle ludzkim wysiłkiem, ile wysiłkiem samej ziemi, próbującej utrzymać przy życiu jednego ze swoich synów. Zaciągnął bandaż mocniej, poprawił wiązanie, przycisnął dłonią raz jeszcze — i wtedy, przez ułamek sekundy, powstaniec poruszył powieką, nie otworzył oka, ale poruszył, jakby gdzieś głębiej coś go wołało, coś opierało się śmierci.

— Trzymaj się — Tomasz wsunął przedramię pod łopatki powstańca. Z jękiem — swoim, a nie rannego — bo ciężar człowieka bez przytomności zdaje się być podwojony, Tomasz wycofał się z dziupli. Mchy pękały cicho pod stopami, pokrywając się ledwo wyczuwalnym zroszeniem żaru, który niósł jeszcze w dłoni. Ułożył chłopaka na ściółce pod dębem tak, by noga leżała wyżej, choćby o te dwa palce różnicy, które czasem decydują o tym, czy krew

płynie wolniej, czy szybciej. Potem dopiero przywołał konia — krótkim, niskim dźwiękiem, który ten znał od lat. Zwierzę podeszło ostrożnie. Tomasz chwycił rannego pod kolana i ramiona. Z pomocą kolana i siły własnych pleców podniósł go wyżej, aż położył na łęku siodła bokiem, wzdłuż grzbietu zwierzęcia, tak aby rana była skierowana na zewnątrz i nie ocierała się o popręg. Przywiązał go paskiem lnianym, nie za ciasno — tyle, by nie spadł w trakcie jazdy, a jednocześnie by oddech miał wolną drogę. Powstańcza kokarda białała w mroku, drgając lekko przy każdym ruchu zwierzęcia. Koń przeniósł ciężar z jednej nogi na drugą, jakby wyczekiwał sygnału. Tomasz pochylił się nad jego łbem, położył mu dłoń na pysku i przysunął usta do ucha zwierzęcia.

— Zanieś go do domu — wyszeptał, głosem, który brzmiał nie jak rozkaz, lecz jak błaganie obrońcy, który oddaje w opiekę to, czego sam dłużej nie uniesie.

Koń drgnął, poruszył uchem, a w ciemności błysnęło jego oko — spokojne, przytomne, jakby zapamiętywało każde słowo.

— Do leśniczówki. Ostrożnie. Znasz drogę. Nieś go, nie zgub.

Jeszcze przez chwilę Tomasz trzymał dłoń na grzywie, jakby przekazywał część własnej siły, trochę odwagi, może też to, co sam nosił w sobie przez te noce — czujność, upór, niepokój. Koń odsunął łeb, postąpił krok, drugi, trzeci... potem przeszedł w trucht, lekki, równy, zaskakująco płynny jak na ciężar człowieka przewieszzonego przez siodło. Wiedział dokładnie, któredy i w jakim tempie powinien biec. Tomasz patrzył, aż sylwetka zwierzęcia znikła między pniami jak cień, który zabiera ze sobą słabnące życie.

Gdy noc połknęła ostatni kontur konia, zapadła cisza. Był teraz sam, w ciemności. W niej ważyło się wszystko.

VII List i wiatr

Zgrzyt kopyt, krótki kłęb pary bijący z nozdrzy, jęk zwierzęcia... i cień człowieka na siodle, osuwający się jak mokra płachta, ciężko, bezwładnie...

Koniuszy, który dobiegł pierwszy, cofnął się jak przed widmem.

— Jezusie... ktoż to...? — wyszeptał, podchodząc krok, drugi... lecz w tej samej chwili koń parsknął — tak znajomo, tak aż do bólu serca znajomo — że koniuszy od razu krzyknął. Koń wielmożnego pana! Z plamą bieli na pysku, cały we krwi! Serce mu stanęło.

Do sieni wbiegła Apolonia — bosa, w nocnej chustce narzuconej w pośpiechu, zmrożona nagłym, obezwładniającym przeczuciem.

— Gdzie jest?! Co z nim?! — jej własny głos dobiegł ją jakby z oddalenia. Jakby to już nie tyle głos, co echo było.

— Pani... to koń pana Tomasza. Ale... to nie pan.

I wtedy Apolonia poczuła napływ emocji tak gwałtownych, tak przeciwstawnych, że aż wzgardziła sobą ze wstydem: najpierw strach ścinający jej łono lodem, potem — w jednej, drżącej chwili — ulga, tak mocna, że aż bolesna, i zaraz potem żal, że ta ulga przyszła, gdy inny człowiek kona na jej oczach.

— Ranny... powstaniec... sama pani obaczy... Krwi dużo. Koń ledwo stoi. Ja... ja sam nie wiem, co robić, pani dobrodziejko... Ale ten opatrunek, i te taśmy skórzane, to są od pańskiej ładownicy, to na pewno wielmożnego pana, ja znam te taśmy, pani dobrodziejko, znaczy pan żyje, chyba żyć musi... to on przecie musiał... co robić, pani dobrodziejko, co począć?!

— Co za pytanie, Wojciechu, trzeba go przenieść! Już! Zaraz! — krzyknęła, ale jej ciało jakby zeszywniało wraz z tym rozkazem.

Koniuszy spojrzał na nią z przerażeniem — spojrzał, ale nie poruszył się ani o włos. Usta mu drżały, spojrzenie uciekało. — Pani dobrodziejko... ja... tego... to nie jest sprawa dla nas... Wojska będą szukać. Przyjdą. Ja mam żonę, dziecko... — głos mu zgasł, jakby za każdym słowem tracił po kawałku odwagi, jakby ktoś ją z niego wysysał.

Apolonia podniosła na niego oczy — nie gniewne, nie wyniosłe, lecz takie, w których mogło się w tamtej nocy odbić każde ludzkie sumienie. Dotknęła dłonią wydętego brzucha, jakby chciała uspokoić gwałtowny skurcz pod sercem, i zasłoniła go chustą.

— Przecież on jeszcze żyje... — powiedziała, próbując rozwiązać mocowania, po czym dodała błagalnym głosem: Nóż... Choć nóż podaj...

— Oni zabierają nie pytając... — wybełkotał nieprzytomny z przerażenia koniuszy podając jej toporek rzeźnicki — Wszyscy to wiedzą... a jak znajdą... — chciał kontynuować, ale przerwał, bo głos odmówił już posłuszeństwa. — Ja nie mogę. Nie mogę!

Przez chwilę stali naprzeciw siebie jak dwa światy, które nigdy nie powinny się zetknąć: jej świat — świat obowiązku i wpojonej od małego pewności, że człowiek w potrzebie jest bliżej Boga niż ktokolwiek; i jego świat — twardy, chłopski, oparty na zmarzniętej ziemi, na instynkcie przetrwania, na strachu, który nie był hańbą, bo nieraz mógł okazać się rozumem w czasach, gdy rozkaz przychodził od kogokolwiek, kto w danej chwili dzierżył broń. Apolonia westchnęła nagle, delikatnie — ruch skrzydła, nic więcej.

— Idź. Ja to zrobię. — powiedziała zupełnie spokojnie i łagodnie i spojrzała koniuszemu w oczy głęboko, napieniając go takim ciepłem, jakby rozwinęła się u wrót jego duszy bezkresna polana białych zawilców. Wtedy dopiero naprawdę się cofnął. W jakiś sposób, ta jej łagodna zgoda zdjęła z jego ramion ciężar winy. Pokłonił się — drżący, wdzięczny, zrozpaczony zarazem — i uciekł wzrokiem od jej oczu. A ona — właśnie w tej chwili,

poczuła strach jego, odsłonięty jak żywa rana, głębsza jeszcze niż rana powstańcza — i natychmiast pojęła, że decyzja zapadła w niej wcześniej. Wiedziała, że nie robi tego ani z odwagi, ani z obowiązku, ani nawet z posłuchu dla tej niewypowiedzianej, a jak znaczącej prośby męża. Robi to dla tej małej istoty pod sercem — córki, która kiedyś zostanie kobietą. A jeśli ma się nauczyć miłości, dobroci i odpowiedzialności, to niechaj na tym przykładzie.

Spojrzała na powstańca: młody, blady, tętno jak cień, oddech przycinany bólem. Z trudem wzięła go pod ramię i powoli, sama, przeciągnęła go do małej komórki przy stajni, gdzie trzymano siano na podściółkę — suche, ciepłe jeszcze od słońca, które przyglądało mu się od południa aż do zachodu. I choć były to tylko trzy kroki przez próg i dwa po kamieniach, wydało jej się to bardzo daleko. Ułożyła go na sianie, podłożyła pod głowę zwinięty koński derk, delikatnie sprawdziła opatrunki, upewniając się, że każdy pasek skóry trzyma się pewnie, a rana nie krwawi. Podłożyła pod jego kark zwinięty koc, by choć trochę ogrzać zmarznięte ciało, po czym szepnęła mu do ucha: — Spokojnie, nic ci nie grozi...

Świt był jeszcze mleczny, niebieskawy, jakby noc wahała się, czy ustąpić dniu. Apolonia weszła do biblioteki i zamknęła za sobą drzwi — powoli i z lękiem, jak zamyka się drzwi świątyni. Stała przy oknie, z którego bór zdawał się wyłaniać z mgły jak sen ciężki i mroczny. Wzięła pióro — to zwykłe, gęsie, nie Tomaszowe — bo jej drżące palce szukały czegoś znajomego. Znalazła kartkę, na której wytłoczony herb połyskiwał bladym złotem w blasku lampy. Delikatnie oderwała niewielki fragment, pozbawiony monogramu, tak by list pozostał anonimowy. Otworzyła kałamarz i w milczeniu, w którym było wszystko: strach, ulga, wstyd, miłość i odwaga-żeby-móc-się-bać — napisała krótki, gwałtowny, drżący list. List “na wiatr”.

Napisała prośbę przyszłej matki i prośbę żony. Prośbę kobiety, która wie więcej, niż potrafi wyrazić. A potem wyszła na ganek, stanęła w chłodnym powiewie poranka i puściła kartkę w to blade listopadowe niebo, pozwalając, by wiatr poniosł jej słowa.

Papier tańczył w powietrzu, wirował, podskakiwał w porywach, a z wysokości tej wietrznej krainy można było zobaczyć, jak na starym wozie, z dzieckiem w ramionach, otoczeni skromnym dobytkiem, żegnali słowami ciepłymi oddalającą się leśniczówkę: koniuszy Wojciech z żoną. Patrzyli na znikający we mgle dwór, przepraszali i błogosławili dziedzicze. Nigdy nie opowiedzą nikomu o tej nocy.

Wiatr przyjął modlitwy i błogosławieństwa, rozwiął końską grzywę i oddechem stworzenia odciążył ludzkie serca, by stały się lżejsze niż pióro. Wybaczył.

VIII

Siew i los

Nogi ledwie niosły, ciężkie od całonocnej wędrówki, drżenia ciała i pełnych niepokoju myśli. Tomasz co i raz zatrzymywał się i wstrzymując na chwilę oddech, rozglądał się uważnie pośród drzew, już nie z lęku, lecz z tego napięcia, co przychodzi do człowieka, który samotnie przemierza nocą puszcę. Śnieg skrzypiał pod butami, a mroźne powietrze szczypało w policzki i uszy, budząc każdy nerw, każdą żyłkę przytomności. Gdy wreszcie bór ustąpił, rozpostarło się przed nim otwarte pole, na którego skraju wznosił się kościół – surowy, dostojny, jakby osadzony w samym sercu tej mroźnej ciszy. Smukła wieża ostrym konturem przecinała mgłę, unoszącą się nad niskimi dachami Boleszczyna.

Dzwony uderzyły na jutrznię. Tomasz przystanął przy tylnej kruchcie, zapatrzony w subtelne fryzy nad drzwiami oraz niewielką kapliczkę przy murze cmentarnym. Śnieg był wokół ubity, jakby już wczesnym rankiem krzątały się tu wierne dusze. Nagle, z oszronionego podwórza, wyłoniła się postać – czarna, długą sutanną opięta, z ciężkim surkotem, rękawicami i kapturkiem lekko przygarbionym nad twarzą. Widok znajomej twarzy przyniósł Tomaszowi niepojętą ulgę. Był to ksiądz Alexandrowicz – proboszcz boleszczyńskiej parafii, który dwa lata wcześniej, w skromnej, lecz pełnej powagi świątyni w Żeroniczkach, udzielał Tomaszowi i Apolonii ślubu. Mężczyźni skinęli sobie głowami i ruszyli ku drzwiom zakrystii.

— Na miłosierdzie Boże, Tomaszu — wyrwało się księdzu półszeptem — myślałem, że cię zatrzymano po drodze! Bałem się, że Moskale obsadzili trakty.

Tomasz skinął głową, z lekkim ukłonem.

— Wybacz, księżu dobrodzieju. Nie mogłem brać konia — zbyt by zwrócił uwagę. Szedłem pieszo przez olszynę. Stał późno stanąłem u progu.

— Późno... czy wcześniej... — odparł ksiądz — ...chwała Bogu, żeś cały. Masz to?

Tomasz wyciągnął pakiet, starannie owinięty w płótno.

— Mam. Mapy, drogi, opis straży, wszystko, co mieliśmy.

Ksiądz wziął dokumenty, ważąc je w dłoniach, jakby dotykał samej istoty planowanego marszu. — Te papiery mogą rozstrzygnąć o losach oddziału. Niektórzy mówią: broń, inni: zapal młodych — ale ja ci powiem, że to drogi nieraz decydują o zwycięstwie. Dobrze czynicie Tomaszu, przekaz błogosławieństwo bratu swemu. Widzę jednak, że duch twój niespokojny... Tomasz spuścił wzrok.

— Księżu... nie o drogi się lękam. Jeno o ludzi. O dom. Ty nas żeniłeś, pamiętasz? Przed Bogiem mnie i Apolonie złączyłeś. A teraz patrzę na nią rano, kiedy jeszcze śpi — i myślę, że każda noc może być naszą ostatnią, spokojną. Dziecko nasze w drodze, za tygodni parę

pierwsze swe ujrzy słońce. Czy wolno mi tyle ryzykować? Narazić siebie to nie to, co narażać rodzinę.

Ksiądz usiadł na krześle, patrząc uważnie.

— Wiem, po cóż pytasz. Ale odpowiem tak, jak odpowiadam każdemu z naszych młodych: „Pomagać trzeba — lecz słusznie, roztropnie i z modlitwą.” Wojna to nie jest świętość sama w sobie. Inaczej — bylibyśmy wszyscy świętymi męczennikami, a Pan Bóg stworzył nas do życia, nie do umierania.

— A gdyby los zagnał pod nasze drzwi kogoś potrzebującego? — spytał Tomasz, ścisząc głos. — Czy nie jest prawdą, że gdy człowiek krwawi u naszych progów, nie pyta się go o sztandary?

Ksiądz spojrzał nań uważniej:

— Mówisz, jakbyś już widział kogoś takiego. Ale nie pytam, dopóki sam nie zechcesz powiedzieć. Pamiętaj jedno: „Cnota bez roztropności staje się gwałtownością, a nie pomocą.” Nie wolno ci narażać niewinnych. Niech twoje męstwo dotyczy ciebie; ostrożność — tych, których kochasz.

Tomasz drżał, głos mu się łamał:

— I tu właśnie stoję, księżu, pomiędzy sercem a rozsądkiem. Nie o siebie się lękam, lecz o moją Apolonię. Serce woła, by wspomóc każdego, kto walczy za wolność, ale rozsądek ostrzega, że droga, którą kroczę, może zbliżyć do niej nieszczęście.

— A czy myślisz, że Apolonia nie wie, kim jesteś? — spytał ksiądz łagodnie, lecz stanowczo.

— Nie wzięła cię za męża, byś tylko strzegł leśnych ścieżek i porządku. Taka dusza jak jej rozumie powinność, choć o niej nie mówi. Ale posłuchaj mnie dobrze, Tomaszu: „Naród nie ocaleje mieczem, lecz sercem” — to serce musi walczyć mądrze. Nie kieruj się ślepą odwagą.

Tomasz westchnął głęboko:

— Nie wiem jeszcze, czy znajdę tę drogę. Ale dziękuję, ojcie. Trudno mi było samemu unieść te myśli.

Ksiądz położył mu rękę na ramieniu:

— Wracaj do domu, Tomaszu. A gdybyś potrzebował... świątynia ta stoi otworem. Dla sprawy... i dla twojego sumienia.

Tomasz wyszedł cicho. Za progiem poczuł zimny powiew wiatru. W sercu kielkował ciężar podjętej decyzji.

Tymczasem w leśniczówce, w skromnej gospodarskiej izdebce, Apolonia pochylała się nad rannym powstańcem. Światło lampy oliwnej wciąż drżało, rzucając delikatny cień na

snopki siana, stare deski i lemiesze, łagodnie łącząc się z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca.

Kobieta wyjęła z małego woreczka igłę z cienką nicią lnianą, wypraną, by nie przenosiła zarazków. Skóra wokół rany była spuchnięta i sina, a krew częściowo już zakrzepła. Apolonia przemyła ją letnią wodą, a następnie odrobiną spirytusu, ostrożnie odrywając strupy. Igła, celowo lekko stępiona, aby nie przecinała tkanki głębiej, wymagała nieco większego nacisku. Naciągając skórę po obu brzegach tak, aby krawędzie rany dokładnie się zetknęły, Apolonia powtarzała ruchy, tworząc staranną fastrygę, a materiał – choć była to opuchnięta, ludzka skóra – poddawał się jej palcom z niemal tkacką precyzją. Każdy ruch igły był spokojny i wyważony, a wprawne palce delikatnie uciskały ranę, utrzymując ją w ryzach. Kiedy ostatnia fastryga była gotowa, Apolonia odsunęła się na moment, by ocenić efekt swojej pracy, gdy mężczyzna zaczął odzyskiwać przytomność.

— Nie mogę tu być, pani! — wyszeptał niemal bezwiednie, chwytając jej dłoń. — Jeśli mnie tu odnajdą, spalą dom, a was, waszych ludzi... Pozwólcie mi odejść, choćby do lasu wynieście!

Apolonia nachyliła się, ocierając mu czoło chłodną dłonią.

— Leżcie. Nigdzie nie pójdziecie. „Pomoc jest odruchem, nie rachubą.” Nie liczę kroku serca jak kupiec grosze, nie pytam o zasługę ani dług.

— Ale... dlaczego mi pani pomaga? — wyszeptał, wciąż drżąc. — Nie jestem wam powinien; nie znam was...

Apolonia uśmiechnęła się ledwie widocznie, lecz w jej oczach płonęła determinacja.

— Może nie znacie mnie, ale ja znam was — młodość, odwagę, nadzieję, i wiem, czym jesteście dla tej ziemi, dla tych lasów, dla pól. Pomagam, bo „Człowiek jest jak ziarno — jeśli spadnie w dobre dłonie, wyda plon; jeśli w zimne, szczyźnie.”

— Pani... jeśli przeżyję, dług wobec was... nigdy go nie spłacę.

Apolonia położyła delikatnie dłoń na jego ramieniu, jej głos stał się łagodny, ale pewny:

— Człowiek nie powinien płacić za dobro. Dobro spłaca się samo — tym, że trwa, tym, że przynosi życie innym. To nie ja decyduję, kto zasługuje, a kto nie. Pomagam, bo serce mi nakazuje.

Powstaniec milczał, oczy pełne łez, wpatrzony w jej twarz.

— Jak wam na imię? — zapytała cicho.

Chwila ciszy trwała między nimi. Słowo, które padło, stało się mostem między strachem a zaufaniem. W tej ciszy kielkować zaczęło w sercu Piotra, młodego czeladnika spod Turka, ziarno odpowiedzialności i odwagi, zasiane miłością czystą i bezinteresowną, miłością bliźniego w najpełniejszej swej postaci.

IX

Pąk i kwiat

Wiosna 1831 r.

Wiosna zawitała tak niepostrzeżenie, że z łatwością dało by się ją przeoczyć, gdyby nie powietrze, które – choć jeszcze marznące o poranku – niosło już coś promiennego: pierwszy, ciepły szept budzącej się do życia ziemi. Śnieg zalegał wciąż w omszałych jarach, na leśnych wydmach i pod ciemnymi gałęziami, nierówny i postrzępiony, jakby zimie zaczynało brakować sił, by utrzymać na ramionach sosen swój puchowy całun. Tam gdzie słońcu udało przebić się przez smolne pnie i dotknąć ziemi – wyzierać poczęły śnieżyczki, których wdzięczne pąki, niczym maleńkie białe ostrza, drażyły w mroźnym kryształach ściółki swoją doroczną ścieżkę ku niebu. Ich delikatne płatki miały w sobie blask młodzieńczej odwagi.

Leśną drogą, osypaną jeszcze resztkami śniegu posuwał się powóz – czarny, okutymi żelazem kołami zagłębiający się w błotnistą koleinę. Za powozem niósł się zapach torfowisk, wody uwolnionej z lodu i żywicy, która pod wpływem pierwszego słońca rozgrzewała się na korze, wydając z siebie woń słodką i świętą. Droga prowadziła ku miejscu, gdzie las otwierał się na małą polanę. Brzozy jako pierwsze strząsnęły z siebie zimową sztywność, a u ich podnóży, w kępkach zeszłorocznej trawy, odzywał się dźwięk życia najczystszy: pierwsze źródła nektaru i pyłku. To morze przylaszczki kładło się fiołkową falą na runie, barwiąc podszycie modrą akwarelą. Wysoko w koronach drzew, rozbrzmiewała pieśń kosa, przeciągła i jasna – pierwsza prawdziwa muzyka w tym roku.

Konie stapały powoli ciągnąc solidną, drewnianą budę, podbitą od środka jasnym płótnem. Wewnątrz panował lekki półmrok, pachniało skórą, drewnem i ciepłem człowieka. Apolonia trzymała na kolanach zawiniątko – ledwie dwumiesięczną dziewczynkę, której drobna twarzyczka trwała we śnie, leniwie przytulona do wehnianego różka. Dziewczynka poruszała ustami w półśnie, jakby próbowała ssać mleko, a jej rączki, skryte w lnianej koszulce, drgały jak młode brzozowe pędy kołysane szumem lasu.

Tomasz siedział obok, nieco pochylony, z dłonią opartą o kolano, otulony w gruby zimowy kontusz. Widać było po nim zmęczenie, ale i niegasnącą ojcowską czujność. Wzrok mężczyzny błędził między twarzą żony, obliczem śpiącej córeczki a leśnym światem, który podglądał ich przez przymglone szyby.

Przez chwilę milczeli – powóz kołysał się miękko.

— Myślisz o liście od Piotra? — zagadnął w końcu Tomasz półgłosem i poprawił lekko brzegi otulinki, by poranny chłód nie muskał zbyt śmiało śpiącej dziewczynki.

Apolonia skinęła głową.

— Leży w mojej szkatułce... nietknięty. — Jej głos był spokojny, ale brzmiało w nim coś jeszcze. — Nie chciałam go otwierać przed powrotem. Tak, jakby...

Zawahała się, szukając właściwej myśli.

— Jakby zależało mi, by to, co w nim jest, usłyszeć dopiero tutaj, w domu. Z tobą i z małą.

Tomasz przeniósł wzrok na dziecko; dziewczynka poruszyła się nagle, chwytając drobnymi paluszkami obręb matczynej chusty, jakby złapała sen w sidła.

— To już będą cztery miesiące... Chłopak przebyć musiał połowę Królestwa, zanim w ogóle zebrał siły, by chwycić za pióro.

— Był wciąż słaby, gdy odjeżdżał — szepnęła Apolonia. — A rana dopiero zaczynała się zasklepiać. I to tylko ta rana, którą udało mi się wtedy opatrzyć. O cierpiącej duszy, trudno po tak krótkim czasie cokolwiek powiedzieć. Co noc nachodziły go demony, ciągle jeszcze zrywał się z krzykiem i w majakach. — I na cóż to wszystko, Tomaszu — westchnęła dalej, spoglądając na męża spod półprzymkniętych powiek — skoro szlachta cała, co ją znamy, żyje teraz w rozdarciu, jakby każdemu serce przecięto na dwoje?

— Wiem dobrze, jak to boli, najdroższa — odezwał się Tomasz. — Jedni chcą bić w rytm bębnów narodu, skoro krew już popłynęła swym torem i nie zatrzyma jej nic, co ludzkie. Inni — drżą o domy, o dzieci, o jutro, które nagle stało się tak niepewne, jakby uczipione pajęczej nici. Od dnia, gdy ogłoszono detronizację Mikołaja, nikt nie wie, co będzie jutro, każdy szept niesie grozę, większość chowa się teraz za murami swoich dworów, licząc, że los ich oszczędzi.

— Cała okolica gada, że wojna się przeciągnie — dodała Pola cicho, jakby obawiała się, że las nasłuchuje — że Moskal przycisnie, że nie będzie ani litości, ani zmiłowania. Że to, co ledwie w listopadzie wydawało się tylko wybrykiem chłopców z Warszawy, zamieniło się w los, którego żadna ręka już nie cofnie: los naszej ziemi, los każdego z nas. A taki Piotr? Toż to jeszcze przecież dziecko, jeden z tych młodych, których dusze nie poznały pełni życia, a już serca im popieleją, trawione ogniem ideału. Wyrusza taki walczyć w imię wartości, nie wie jeszcze, jak kruchy jest człowiek, z jaką łatwością bezlitosne życie unicestwić potrafi takie młodzieńcze zrywy.

— A jednak — wyszeptał Tomasz, — nie można stać obok obojętnie, jakby to nie była nasza sprawa, jakby nie pisała się nasza historia. Kto milczy wobec ich losu, milczy nad grobem wolności. Choć ich młodość bywa lekkomyślna, w niej tkwi prawda, która podtrzymuje naród. Każda ręka, którą podajemy staje się świadectwem. Jeśli uda się ocalić choć jedno życie, jeden umysł, jedno serce — znaczy, że i nasz byt nie poszedł na marne.

— Najważniejsze, że przeżył. Napisał. Może dziękuje. Może o coś prosi... może czegoś potrzebuje... — Apolonia mówiąc to, przycisnęła niemowlę do serca. — A może ostrzega... Otworzę list, kiedy tylko przekroczymy próg.

Michalina Danielewiczówna – po obu swych babkach *Maryanna* – urodzona dokładnie w trzecią rocznicę ślubu swych rodziców – westchnęła we śnie, jakby wtórowała matce. Powóz wtoczył się w cień polany, a marcowe światło zatańczyło na ich twarzach, bezwiednie zwiastując nowy rozdział, który tak, jak zalakowana koperta w szkatułce Apolonii – dopiero czekał na otwarcie.

W dworku leśniczego wszystko gotowe już było na przybycie państwa. W kątach izby poustawiano bukszpanowe gałązki i baze, a pod sufitem pięła się subtelna korona warkoczy suszonych kwiatów i ziół. Pomieszczenia rozświećtały łagodne światła lamp oliwnych, a w saloniku aż duszno było od woni pieczonych ciast.

By uczynić przyjemność wielmożnej pani (ale też zyskać względy przyszłej dziedziczki, oczarowując ją od maleńkości pięknem boskiego przyrodzenia), kuchmistrzynie udekorowała mazurki kwiatkami, listkami, baziami i wirkami z lukru, w niemal wszystkich odcieniach błękitu. Modry jak wiosenny poranek, kucharka uzyskała z jagód sparzonych i utartych na pastę; intensywniejszy, chłodny błękit – z czarnej porzeczki, rozcieńczonej subtelnie wodą różaną; a trzeci, fioletowy, dzięki drobno sproszkowanym kwiatom lawendy, które nadały lukrowi nie tylko lekko fioletowy odcień, ale i baśniowy wręcz aromat. Każdy mazurek przyozdobiły serduszka z migdałowej masy i migoczące cukrowe perełki.

Wbrew opiniom wielkich ludzi nauki, którzy próbowaliby to zapewne wybić nam z głowy, twierdząc, że dorosły nie może pamiętać lat niemowlęcych – Michalina Maryanna całe swe dorosłe życie będzie niezbiecie twierdziła, że jak żyw pamięta “feerię wielkanocnych błękitów” z rodzinnego domu „w puszczy”. Często bowiem zdarza się, że dziecięce święta trwają w nas aż po kres, niczym nieprzemijający błękit nieba.

X Kłos i plon

Wigilia Bożego Narodzenia 1845 r.

Nadszedł dzień Wigilii Bożego Narodzenia, roku pańskiego 1845, — dzień srogi, przeszyty mrozem tak przenikliwym, że nawet okute w stal końskie kopyta dźwięczały ostrzej niż zwykle na ośnieżonym trakcie. Kryształowe powietrze odbijało tłumione gęstymi, czarnymi konarami drzew słońce z mocą tak wielką, jakby nie świt grudniowy, lecz jakaś pierwotna jasność stwarzała dziś świat od nowa.

Jak co roku, długo przed wieczrą, Tomasz objeżdżał włości: sprawdzał furtki i obejścia, czy nie zasypało traktu, czy nie zawiąło przejazdu, czy zwierzyzna nie zeszała zbyt blisko domostw w poszukiwaniu karmy, a także — co wiedziała tylko Apolonia — modlił się chwilę w samotności u pnia przedwiecznego dębu, który od ponad dekady był dlań wspomnieniem cudu i grozy zarazem.

Bór otoczył go ciszą, niczym prastara świątynia, w której każde źdźbło niosło moc modlitwy, a każda gałązka kreśliła alfabet zapomnianej liturgii. Mgła wznosiła się między drzewami jak kadzidlany dym, przepełniona niewidzialną obecnością wszystkiego, co było, i wszystkiego, co dopiero nadejdzie. Świerki, pokryte srebrzystą okiścią, trwały wzdłuż polany niczym tęgie kolumny, które, choć wyrastały z osobnych miejsc, zdawały się częścią jednego ciała — jakby rosły zgodnie z jedną myślą, jednym prawem, pamięcią starszą od ludzkiej mowy. Nad tym grudniowym misterium dach niewidzialnej nawy tworzyło samo niebo, choć przygięte ciężarem zimy, wysokie tak, że człowiek czuł się pod nim nieskończenie kruchy. W tym lesie, nawet w Wigilię, kryła się świadomość, że korzenie drzew, splecione niczym dłonie modlących się pielgrzymów, noszą pamięć wielu zim, pokoleń i burz — i że stając wśród nich, człowiek wchodzi nie tylko w przestrzeń, lecz w czas sam w sobie.

W leśnym przybytku panowało napięte, lecz uroczyste poruszenie — nie to nerwowe, jakim żyją kuchnie dworskie, lecz ciche, rodzinne, utkane z gwaru pracowitych dłoni i miarowego tykania kominkowego zegara, który zimowe dni odmierzał z zadumą należną świątecznej tradycji. Pani Apolonia, odziana w ciepłą, pofałdowaną spódnicę z grubego sukna, uwijała się przy stole. Obok krzątała się służba: dziewczęta wносиły pieczone ryby, pierogi i kutie. Z komina unosila się woń maku i miodu, a na wigilijnym stole, nie tylko smakiem, ale i zapachem swych owoców, gościł las; orzechy, usmażone na konfiturę w rumianym karmelu, obok kamienne słoje z marmoladą z głogu i porcelanowe salaterki, pełne duszonych podgrzybków. Srebrne półmiski z kiszoną kapustą, przybrane jałowcem i borówką wypełniały kuchnię leśnym zapachem i obietnicą świątecznego cudu.

Przy oknie stała Michalina, czternastoletnia już dziewczynka, jak na swój wiek nader dojrzała i poważna. W jej spojrzeniu matka nieraz odnajdywała tę ledwie uchwytną melancholię, którą i ona w młodości nosiła w swym sercu. Dziewczynka obracała w dłoniach zeschły owoc olszy, jakby badając jego tajemniczą strukturę. Zastanawiała się, ile lat może już mieć ta wdzięczna, czarna szypułka, ile już trwa w swym ażurowym milczeniu, podczas gdy świat wokół wciąż się porusza i zmienia. W tych twardych owocach dziewczyna widziała coś więcej niż tylko plon lasu — z wrażliwością młodej kobiety, dostrzegała w nich piękno, rzeźbione cudowną, niewidzialną ręką przyrody.

Roman, najmłodszy syn państwa Danielewiczów, uciekał spod nóg dorosłych — to do kuchni, to do przedsionka, a potem na ganek, wypatrując, czy w oddali nie zamiga ognik złotego kołpaka na głowie wuja Walentego. Wreszcie koło południa rozległ się w sieni długo wyczekiwany dźwięk dzwonków zawieszonych przy uprząży — dźwięk jasny, przenikliwy, niosący się po zamarzniętej drodze niczym sygnał nadchodzącego błogosławieństwa. Były to wielkie sanie okute mosiądzem, wyściełane futrem z wilka, a w nich wuj Walenty, w podróżnej kapocie, z oszronioną brodą, oraz babcia Mania, sędziwa już staruszka, której dłonie, choć od lat drżące, wciąż zachowywały należną statecznej matronie dystynkcję. Roman wybiegł pierwszy, choć Apolonia zawołała za nim, by wpierw coś na siebie zarzucił — lecz jakże pięć lat miało czekać, skoro babka przybyła? Kiedy śmiech, słowa powitania i pomocne ruchy rąk zlały się w jedną potężną falę rodzinnego ciepła, do dworku powrócił ojciec — jakby przywołany głosem gromady.

— Dojechaliście w samą porę — rzekł Tomasz, pochylając się nad dłonią matki. — A że jeszcze światło dnia stoi wysoko, pozwolicie, że zabiorę dzieci do boru, zanim wilija rozsiądzie się na dobre przy stole. Dzieci nie potrzebowały powtórnego zaproszenia — natychmiast wdrapały się na sanie, opatulając futrzanymi pledami babuni. Tomasz chwycił wodze, gwizdnął krótko — koń ruszył.

Apolonia, stojąc z teściową na ganku, dopinała futrzany kołnierz staruszki i patrzyła, jak jej mąż i dzieci toną w śnieżnej gęstwinie lasu.

— Niech pobędą, niech posłuchają boru — rzekła teściowa. — Dziś drzewa szepcą tylko prawdę.

Sanie zatrzymały się na skraju polany. Piotruś przykucnął nad czarną kreską mrówczej ścieżki zamarzniętej w połowie ruchu.

— Tato — rzekł, nie odrywając oczu od maleńkich stworzeń — czy one wiedzą, dokąd idą, kiedy ziemia śpi?

— Czy jednak śpi na pewno? Oczy nam mówią, że las drzemie, tymczasem pod splotem lodu i szronu wciąż tętni cichym, nieprzerwanym życiem. Spójrzcie — rzekł, przywołując dzieci, po czym odgarnął delikatnie niewielką połąć mchu, na którym blask popołudniowego słońca rozigrał się niczym srebrzysty pył — patrzcie uważnie...

Dzieci pochyliły się nad ściółką. Wśród obnażonych, splątanych dębowych korzeni, rozgrywał się prawdziwy teatr życia. Małe ślimaki wyciągały sprężyste czułki, zaskoczone przedwczesnym promieniem słońca, a mikroskopijne owady poruszały się między igliwem i opadłymi liśćmi, tworząc sieć drobnych korytarzy. Pod korą dumnie maszerowały mrówki, niosąc okruchy nasion, a niewielkie larwy ukryte w wilgotnej glebie wiły się nerwowo, w oczekiwaniu wiosennej przemiany.

— Każde drzewo — kontynuował Tomasz, — choć z pozoru samotne, splata swe korzenie z innymi; każde żyje o tyle tylko, o ile pozwalają mu sąsiedzi, wiatr, gleba, pamięć dawnych pór, a nawet te niewidzialne drobiny świata, co w jego cieniu znajdują schronienie. Nic tu ani tak naprawdę nie umiera, ani nawet nie istnieje w pojedynkę: sędziwe dęby ustępują miejsca młodym brzoźkom, a te z kolei, gdy dorosną, okryją runo miękkim cieniem, aby mogły się w nim narodzić jeszcze młodsze siewki, kruche jak pierwsze słowa wypowiedane przez dziecko. I tak, choć każdy pień zdaje się osobnym istnieniem, w istocie stanowi jedynie głos jednego wielkiego chóru, który od wieków śpiewa tę samą pieśń trwania — czasem surową, innym razem łagodną, lecz zawsze przepełnioną wzajemną zależnością. My także jesteśmy takimi drzewami — wyrastamy z historii, której nie pamiętamy, czasem nawet nie znamy, a przecież niesie nas ona na barkach minionych burz i wszechobecnych cudów. Nim wasze oczy pierwszy raz ujrzały światło poranka, zanim wasz pierwszy krzyk rozdarł powietrze naszego domu, wielu ludzi — których imion może nigdy nie poznamy — musiało przetrwać chorobę, głód i cierpienia wojny. Gdyby nie ich długie wędrówki, te spełnione ale i te niespełnione miłości lub złamane serca, nie byłoby ani nas, ani was na świecie. Bo gdy stare drzewo obumiera, oddaje ziemi to, co gromadziło przez długie lata: swój sok, mądrość korzeni, substancję swego pnia — jak

dojrzały kłos, który pochyliwszy się, rozsypuje ziarno, by to, co w nim było, nie zginęło, lecz powstało na nowo. I tak, jak ziemia przyjmuje to ziarno, tak czas przyjmuje życie człowieka, przechowując je w następnych pokoleniach. Tak i w was — choć jeszcze tego nie pojmujecie — płynie ciąg życia, którego nie wy jesteście początkiem i nie wy będziecie końcem. Dlatego gdy patrzę na was, widzę nie tylko mą córkę i moich synów, ale cały łańcuch ludzkich losów. Życie wasze, choć wydaje wam się jednym tylko tchnieniem, nie jest samotnym aktem stworzenia, jeno ogniwem, które trwa, odkąd sięga pamięć świata. Odradza się, przemienia, ale nigdy naprawdę nie umiera.

Kiedy powrócili, dom pachniał już kompotem z suszu. Wieczera miała zacząć się po pierwszej gwieździe, więc dzieci — jak co roku — pobiegły na strych, prosto do starego, matczynego kufra, który pamiętał jeszcze czasy pradziada i Komisji Skarbowej Koronnej. Taka była tradycja: co roku w noc wigilijną dzieci otrzymywały przyzwolenie rodziców, by wydobyć ze szkatuły jeden przedmiot, a rodzice opowiadali jego historię.

Zbiegły zdyszane i zgrzane ogniem tajemnicy. Piotruś trzymał w dłoni list o przełamanej pieczęci, starannie zagięty w trójkąt, adresowany ręką nie bardzo piśmienną — litery nierówne, częściowo były pochylone, a słowa przerywane niezgrabnym pociągnięciem pióra. Widząc twarze rodziców, dzieci wnet pojęły, że dzierżą w ręku coś więcej niż kawałek poplamionego papieru. Jednak ku ich zdziwieniu, na liście widniało jedno tylko zdanie:

Żyję i w sercu noszę wszystko, cościeście dla mnie czynili, nigdy Was nie zapomnę.

Apolonia wzięła list w dłonie — powoli, delikatnie, jakby trzymała w ręku czyjeś serce.

— To... — zaczęła — to jest odpowiedź.

— Odpowiedź na co, mamó? — Michalina uniosła brwi, rozwierając szeroko swe zadumane, błękitne oczy.

Apolonia spojrzała nań z delikatnym uśmiechem. — Na mój list wysłany na wiatr.

— Co to jest list wysłany na wiatr?

Matka otuliła córkę ramieniem.

— Czasem, kochanie, zdarza się, że człowiek mówi słowa, których nikt nie ma usłyszeć — albo nie wiadomo, kto je usłyszeć powinien. Wtedy wypowiedzieć je może tak, jak się rzuca piórko na wiatr... nie do kogoś, lecz ku światu. I czeka się. Bo tylko wiatr, tylko czas przynieść potrafi odpowiedź.

Tomasz objął żonę i matkę, Walenty oparł dłoń na ramieniu brata — i była w tym geście wielka, niewypowiedziana wdzięczność, że wszyscy stoją tu razem. Że żyją. I że *ktoś* też przeżył.

Tegoroczna wigilia nie była tylko świętem jednego dnia, lecz wszystkich dni, które przeszły i wszystkich, które dopiero miały nadejść.

KONIEC

Epilog historyczny

„*Lemiesz i róża*” to – po „*Bagnecie i naparstku*” – druga część dylogii rodzinnej. Serce pierwszej opowieści były losy mej prapraprababki, Marii Mierzwińskiej z Rutkowskich oraz historia Kosteckich h. *Leszczyc*. W „*Lemieszu i róży*” głównym bohaterem staje się mój praprapradziad, Tomasz Danielewicz h. *Rola*, a sam tytuł książeczki odnosi się właśnie do owego herbu, co ma *białą różę otoczoną trzema żelaznymi lemieszami na czerwonym polu*. Połączenie lemiesza (czyli dolnej części pługa) oraz białej róży, było w owych czasach symbolem ziemi i pracowitości – niewinności i umiarkowania. Jak pisał Jan Długosz w *Insignia seu clenodia Regis et Regni Poloniae*, „były to rody mężów prostych i gustujących w umiarze.”

Tomasz Danielewicz (1799, Kurowice w Kotlinach – po 1854) wywodził się z rodziny o głębokich tradycjach, której korzenie sięgały dawnych bojarów litewsko-ruskich. Danielewiczowie pojawiają się w źródłach już w XIV i XV wieku, a herb *Rola*, którym od pokoleń się posługiwali, został przez ich przodków adoptowany na mocy Unii Horodelskiej w 1413 roku. Wśród antenatów rodu znajdujemy dworzanina królewskiego Michała Danilewicza, łuckiego sędziego grodzkiego Grzegorza Danilewicza oraz siedemnastowiecznego właściciela dóbr w Trockiem, Aleksandra Danielewicza. Ich wielowiekowa obecność na pograniczach ziem litewskich, ruskich i polskich uformowała rodzinę o charakterze typowym dla średniej szlachty urzędniczo-ziemiańskiej.

Rok 1799, w którym przyszedł na świat Tomasz, przypadał na czas gwałtownego przełomu: upadła już dawna Rzeczpospolita, a na ziemiach piotrkowskich umacniała się pruska administracja, z jej nowymi mechanizmami kontroli, rejestracji i nadzoru. Jego ojciec, Józef Danielewicz, był instygatorem Trybunału Koronnego Piotrkowskiego, a matka, Maryanna z Lewandowskich, pochodziła ze szlacheckiej rodziny lokalnej. Dom, w którym dorastał Tomasz, łączył tradycję urzędniczej kultury prawnej z praktycznym życiem prowincjonalnej szlachty. Po śmierci Józefa w 1824 roku rodzina przeszła przemianę – synowie, pozbawieni dawnego statusu i możliwości awansu w strukturach Rzeczypospolitej, podejmowali funkcje praktyczne: leśne, gospodarcze, administracyjne. Tomasz związał się ze służbą leśną jako strażnik lasów państwowych, a jego starszy brat Walenty sprawował urząd nadleśnego rządowego.

Służba ta, choć cicha i pozornie prowincjonalna, wymagała szerokich kompetencji: nadzoru nad drzewostanem, kontrolowania wyrębu, współpracy z potażarniami i wytwórniami smoły, a także czujności w sprawach kłusownictwa. W rejonie Smulsk, Żeronic i Boleszczyna Tomasz pełnił funkcję łącznika pomiędzy władzą a lokalnymi społecznościami. Konflikty o miedze, granice, zwózkę drewna czy prawo do opału rozstrzygano często w jego obecności – w kancelarii, przy stole w karczmie, nierzadko w terenie, wprost na skraju lasu. Strażnik miał być równocześnie urzędnikiem, mediatorem i gospodarzem powierzonych mu ziem. Na tę codzienną pracę nakładała się jednak zmienna i niepewna sytuacja polityczna. Powstanie listopadowe (1830–1831), a potem lata nasilonych represji, zwiększyły presję administracyjną i spowodowały, że biurko strażnika

zapełniło się okólnikami, obwieszczeniami i kontrolami. Życie rodzinne toczyło się więc w cieniu wydarzeń, które raz po raz naruszały delikatną równowagę między tradycją a koniecznością przetrwania.

Małżeństwa zawierane przez dzieci Józefa świadczą o wciąż żywej sieci lokalnych powiązań: Danielewiczowie łączyli się z Lewandowskimi, Markowskimi i Oyrzanowskimi h. *Junosza*, a potem Kosteckimi h. *Leszczyc*, tworząc krąg rodzin wspierających się w świecie dynamicznie zmieniających się struktur politycznych i gospodarczych.

Tomasz założył rodzinę z Apolonią Scholastyką Oyrzanowską h. *Junosza* (1803–†?), wywodzącą się z rodziny średnioszlacheckiej, zakorzenionej od pokoleń w okolicznych dobrach ziemskich. Genealogia Oyrzanowskich sięga co najmniej XVI wieku. W aktach ziemskich piotrkowskich pod rokiem 1589 zapisano, że Jakub Junosza Oyrzanowski darował wszystkie swe dobra w majątku Sangrodź Janowi, Andrzejowi i Krzysztofowi w spadku na współwłasność. W 1594 r. Anna z Trepków, wdowa po Janie, synu Jakuba, przekazała swoim synom — Stanisławowi, Wojciechowi, Mikołajowi i Hieronimowi — dobra Sangrodź i Oyrzanów posiadane prawem posagowym i dożywociem. Stanisław Oyrzanowski h. *Junosza*, żonaty w 1594 roku z Anną Jaroszewską, miał syna Mikołaja, który w 1702 roku ożenił się z Katarzyną Wieniawską h. *Wieniawa*. Byli oni rodzicami Świątosława Oyrzanowskiego, żonatego z Ewą z Pągowskich h. *Pobóg*, którego syn Konstanty Oyrzanowski (*1743–†1828) został ojcem Apolonii Scholastyki. Dzięki tej wielopokoleniowej ciągłości Apolonia wносиła do małżeństwa z Tomaszem Danielewiczem tradycję ziemiańsko-szlachecką, zakorzenioną w lokalnym krajobrazie i strukturach władzy.

Małżonkowie mieli liczne potomstwo, z którego część — zgodnie z realiami XIX wieku — zmarła w bardzo wczesnym dzieciństwie: Piotr Felicyan (1828–†?), Antoni Filip (1833–1834) i Antoni Szczepan (1836–1839). Inne dzieci dożyły dorosłości lub zmarły później: Michalina Maryanna (ur. 1831), Roman Aleksander (ur. 1840) oraz najmłodsza Łucja (1849–1890).

Najbardziej wyróżnił się syn średni, Piotr Apolinary (7 VII 1835 – 20 IV 1915), który, wychowany pomiędzy kartotekami leśnymi, raportami i realiami wsi nadleśnej, wyrósł na człowieka o duszy przedsiębiorczej. Osiadł w Sieradzu, gdzie uzyskał znaczną pozycję społeczną jako przedstawiciel nowego, mieszczańsko-przemysłowego porządku.

Piotr Apolinary ożenił się z Celestyną Czałczyńską z Jungmannów, mieszczańskiej rodziny z Warszawy (1856–1909), z którą miał ośmioro dzieci. Jednym z nich był Czesław Leon Danielewicz (15 IV 1885 Warka – 2 XII 1953 Włoszanowo), który poślubił Janinę Marię Kostecką, moją prababkę — wnuczkę Marii Mierzwińskiej, bohaterki pierwszej części dylogii *Bagnet i naparstek*.

Czesław, urodzony w Warce, kształcił się w Radomiu, a następnie na Wydziale Rolniczym Politechniki w Pradze. Po powrocie do kraju podjął pracę w hodowli roślin, kolejno w przedsiębiorstwach „Udycz” i „Granum”, a od 1925 roku kierował Stacją Hodowli Roślin „Siew” we Włoszanowie. Był pionierem nowych metod hodowli roślin, wprowadzając metody miczurinowskie, a jego praca obejmowała opracowanie odmian zbóż i ziemniaków o wysokiej wartości użytkowej. Za zasługi w dziedzinie hodowli roślin został

dwukrotnie odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz nagrodą państwową w 1952 roku. Czesław Danielewicz współpracował z dr nauk przyrodniczych Edwardem Kosteckim, tworząc silne więzi rodzinne i zawodowe.

W ten sposób splótł się los dwóch rodzin: Danielewiczów o tradycji urzędniczo-leśnej i Kosteckich herbu *Leszczyc*, reprezentujących nurt inteligencko-patriotyczny II połowy XIX wieku — środowiska, które łączyło pamięć o powstańczych poświęceniach z dążeniem do modernizacji, pracy zawodowej i kultywowania kultury i nauki polskiej w realiach zaborów. Dzieje Tomasza, strażnika lasów państwowych, stały się więc początkiem nowej gałęzi, która w kolejnych pokoleniach przeszła od życia przy skraju puszczy do przestrzeni miejskiej, zawodowej i intelektualnej, niczym subtelne splecenie lemiesza i róży, gdzie praca na roli, służba ziemi i siła codziennego trudu łączyły się z delikatnością nauki i kultury, książki i edukacji.

Nie znamy dokładnej daty śmierci Apolonii, a ostatnim pewnym śladem życia Tomasza pozostaje legitymacja szlachecka z 1854 roku. Ten pojedynczy dokument, podpisany w cieniu kończącej się epoki, zamyka znaną nam biografię człowieka, który – jak wierzę – odszedł spokojnie na łonie swojej ukochanej przyrody, wśród szeptu drzew i szelestu liści, scalając się z rytmem lasu.

GENEALOGIA BOHATERÓW DYLOGII KONRAD J. PIWOWARCZYKA

BAGNET I NAPARSTEK:

Zacheusz Mierzwiński ——— Maria Rutkowska (1827–1896)

Paulina Karolina Mierzwińska ——— Wiktor Kostecki h. Leszczyc
Janina Maria Kostecka h. Leszczyc

LEMIESZ I RÓŻA:

Tomasz Danielewicz h. Rola (1799–1849) ——— Apolonia Oyrzanowska h. Junosza
Piotr Apolinary Danielewicz h. Rola

POWIĄZANIE Z AUTOREM:

Tomasz Danielewicz h. Rola (1799–1849) ——— Apolonia Oyrzanowska h. Junosza

Piotr Apolinary Danielewicz h. Rola (1835–1915) ——— Celestyna Czałczyńska

Czesław Danielewicz (1885–1953) ——— Janina Maria Kostecka h. Leszczyc

Jerzy Stefan Danielewicz (1915–1987) ——— Zofia Borucińska

Halina Danielewicz (1956)

|
Konrad J. Piwowarczyk (1979)